

Biogram Elizy (Elżbiety) Szandorowskiej (1923 – 2017)

Eliza przyszła na świat w Toruniu dnia 15 listopada 1923 r. Jej ojciec, mjr. pil. obs. Wiktor Szandorowski był wówczas komendantem Oficerskiej Szkoły Obserwatorów Lotniczych, mieszczącej się na lotnisku toruńskim. W domu rodzinnym panowała patriotyczna atmosfera wywodząca się z niedawnego udziału ojca Elizy, Wiktora, w zmaganiach z nawałą bolszewicka. Matka Elizy, Janina z d. Chrostowska, urodzona w Warszawie, też była gorącą



1928. Pięcioletnia Elizka z młodszą o 3 lata siostrą Terenią w Dęblinie.

patriotką, jak większość polskiego społeczeństwa z zaboru rosyjskiego. W takich warunkach rosła Eliza oraz jej rodzeństwo. Eliza już jako dziewczynka w szkole podstawowej, a później jako drużna w harcerstwie, wykazywała cechy opiekuńcze w odniesieniu do osób potrzebujących pomocy. Gdy podrosła trochę, na obozach harcerskich zawsze powierzano jej pełnienie funkcji sanitariuszki w zastępie medycznym. Następnie Eliza kontynuowała naukę w szkole podstawowej w Dęblinie dokąd, w 1929 r. desygnowany został jej ojciec, gdzie pełnił funkcję Dyrektora Działu Nauk w znanej „Szkole Orłąt”. Gdy ojciec Elizy, już w stopniu ppłk.pil.

desygnowany został w 1933 r. na nowe stanowisko w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych (GISZ) w Warszawie, rodzina przeniosła się wraz z nim do stolicy. Eliza kontynuowała naukę w szkole podstawowej, a następnie w gimnazjum im. Hoffmanowej. Eliza osiągała ponad przeciętne wyniki w nauce. Zawsze też była aktywna w harcerstwie. W 1937 r, ojciec Elizy został odkomenderowany na nowe stanowisko Dowódcy Obrony Przeciwlotniczej Rejonu Pomorza ze sztabem dowództwa w Toruniu. Wraz z ojcem zamieszkała w Toruniu Eliza, gdzie kontynuowała naukę na poziomie gimnazjalnym. Do wybuchu wojny w 1939 r. Eliza ukończyła 4 kl. Gimnazjum, i zdała tzw. „małą maturę”. Dalszą naukę w czasie okupacji kontynuowała w warunkach konspiracyjnych, w grupach kilkunasto-osobowych, na tzw. „kompletach” organizowanych przez nauczycieli w prywatnych mieszkaniach. Zawsze wiązało się to z ryzykiem aresztowania dla nauczyciela i uczniów oraz zesłania do obozu koncentracyjnego. W r. 1944 Eliza zdała, w warunkach konspiracyjnych, egzamin maturalny o profilu humanistycznym.



1930. Siedmioletnia Elizka w Dęblinie.

Dalej pozostała zaangażowana w konspiracyjne harcerstwo gdzie przeszła przeszkolenie w służbie sanitarnej dla warunków bojowych oraz dodatkowe przeszkolenie w opiece nad matką i dzieckiem.

Wcześniej, już w roku 1942, Eliza zaangażowała się w niesienie pomocy prześladowanym przez Niemców Żydom. Byli to głównie klienci prowadzonego przez jej matkę Janinę, niewielkiego pensjonatu, przy ul. Wielkiej 11 w Warszawie, a później, po zamknięciu pensjonatu przez władze niemieckie, w prywatnym mieszkaniu Janiny pod tym samym adresem. Obie pomogły w przetrwaniu 54 ukrywającym się Żydom, z których 29 przeżyło Holocaust. Eliza wykazała się ogromną odwagą w udzielaniu tej pomocy. Towarzystwo w przemieszczaniu się po ulicach Warszawy w ciągu dnia osobom mającym wyraźnie semickie cechy twarzy. Było to związane z ogromnym ryzykiem utraty życia w przypadku zatrzymania przez Niemców.

Wyjątkowo skutecznie pomogła też Eliza trzem żydowskim studentom 2 roku medycyny, którzy przed wojną studiowali w Lozannie, a na wakacje w 1939 r, przyjechali do swoich rodzin w Polsce. Tu zastała ich wojna. Należeli do nich, Roman Rozenberg ze Lwowa, Beniamin Bursztyn z Warszawy oraz Salomon Jusym z Sambora. W 1941 r. Roman Rozenberg, zaopatrzonej jeszcze we Lwowie w ochronny dowód osobisty, tzw. „kennkartę”, na nazwisko Franciszek Czajkowski, przyjechał do Warszawy zgłaszając się do Janiny, matki Elizy, z którą przyjaźnili się przed wojną jego rodzice, z prośbą o pomoc w znalezieniu bezpiecznej kryjówki. Nie było to łatwe zadanie. Roman miał wydatnie semickie rysy twarzy, z dużym „orlim” nosem. Trudno było mu przyjechać pociągiem do Warszawy ze Lwowa, a potem poruszać się po ulicach stolicy bez ciągłego zaczepiania przez tajnych agentów niemieckich lub polskich szmalcowników. Miał jednak atut w postaci braku obrzezania. Zawsze udawało mu się wyjść z opresji, ale raz nie pomógł wspomniany atut. Nie został zabity lecz odstawiony do więzienia Gęsiówka, filii Pawiaka, skąd udało mu się szczęśliwie uciec do getta warszawskiego. Miało to miejsce jesienią 1942 r. W styczniu 1943 r. zapędzony na „Umschlagplatz”, w dramatycznym momencie załadunku Żydów do pociągu udającego się do obozu zagłady, Roman spotkał się ze wspomnianym wyżej kolegą, Beniaminem Bursztynem. Ten ostatni nie był sam, lecz z niedawno poślubioną żoną, Ireną Eisner. Całej trójce udało się schować w jakiejś piwnicy z węglem, tworząc zasłonę z rozkładających się ciał wcześniej zabitych mieszkańców getta, i uniknąć załadunku do wagonu. Po odjeździe transportu do Trebłinki, w ucieczce na stronę aryjską pomógł im za sowitą opłatą policjant żydowski oraz bezinteresownie polski policjant. Cała trójka zgłosiła się do matki Elizy z prośbą o pomoc. Beniamin Bursztyn z żoną Ireną wraz z Romanem Rozenbergiem zamieszkali przez jakiś czas w mieszkaniu Janiny na ul. Wielkiej. Wkrótce, przy pomocy Elizy, Ben Bursztyn z żoną otrzymali „kennkarty” na polskie nazwiska, odpowiednio na Marian Gołębiowski i Mieczysława Cielecka. Poprzez znajomości Janiny, zostali umieszczeni w mieszkaniu pani Ireny Rycio, pielęgniarki ze Szpitala św. Łazarza na ulicy Karolkowej. Pani Rycio

zamieszkała w służbowce dla pielęgniarek w szpitalu gdzie pracowała, natomiast swoje małe mieszkanie na 1-szym piętrze przy ul. Pańskiej 39, oddała Benowi i Irce, obecnie Marianowi i Mieczysławie. Byli tam w miarę bezpieczni, zamykani na kłódkę od zewnątrz i zaopatrywani w niezbędne do życia zakupy przez panią Rycio i Elizę. Beniamin Bursztyn, teraz Marian Gołębiowski, posiadający wystarczające środki finansowe, postanowił pomóc Romanowi Rozenbergowi w przeprowadzeniu operacji plastycznej twarzy. Roman, teraz Franciszek Czajkowski, poddał się wkrótce operacji nosa by zmienić swój wygląd. Operacja wykonana została na miejscu, w mieszkaniu Janiny, w dość prymitywnych warunkach. Operację przeprowadził lekarz przy użyciu dłuta i młotka, bez należytego znieczulenia i dbałości o wymogi aseptyki. Na domiar złego, w czasie operacji elektrownia wyłączyła światło. Reszta zabiegu odbyła się przy świetle świec. Niespodziewanie, w parę godzin po operacji, do mieszkania wpadli gestapowcy, szukający Romana. Udało mu się i z tej opresji wyjść obronną ręką dzięki atutowi w postaci braku obrzezania. Rana na twarzy Romana goiła się szybko i po miesiącu zgłosił się on w Arbajtsamcie jako dobrowolny ochotnik na roboty w Niemczech. Wysłano go do Austrii w pobliże Wiednia, gdzie pracował w fabryce pilników, a następnie w szpitalu pod Wiedniem. Ben, obecnie Marian, pomógł również w ukrywaniu się Salomonowi (Salkowi) Jusymowi, trzeciemu ze studentów z Lozanny, który przebywał zamknięty w getcie w Samborze. Pokrył koszty wyrobienia dla niego fałszywej kennkarty na nazwisko Andrzej Jarosz. Zawiozła mu ją do Sambora Janina, i po wejściu jako Żydówka na teren getta, dostarczyła do rąk własnych. Miało to miejsce krótko przed wybuchem powstania w getcie warszawskim, w kwietniu 1943 r. Wkrótce, bo w końcu czerwca 1943 r. Salek, teraz Andrzej, zjawił się w Warszawie w mieszkaniu Janiny na ul. Wielkiej. Po paru dniach Eliza odprowadziła go do mieszkania na ul. Pańskiej 39, gdzie już ukrywali się Ben z żoną Ireną, w mieszkaniu pani Ireny Rycio. Wszystko szło dobrze aż do feralnego dnia w sierpniu 1943 r, kiedy to nastąpiła katastrofa. Gdy tego dnia ukrywający się Ben z żoną i Salek, rozpalili ogień pod płytą kuchenną, piec kuchenny zaczął silnie dymić i zanim przedsięwzięto środki zaradcze, dym zaczął przedostawać się na klatkę schodową wzbudzając niepokój wśród sąsiadów. Starali się oni najpierw wyważyć drzwi, a następnie przystawić drabinę do jednego z okien lub balkonu aby wejść do mieszkania celem gaszenia pożaru, w ich przekonaniu będącego źródłem dymu. Wezwano również straż pożarną. Pod oknami zebrał się spory tłum gapiów. Cała trójka była uwięziona w mieszkaniu zamkniętym od zewnątrz na kłódkę. W końcu Ben zdecydował się na desperacki krok; otworzył drzwi balkonowe, wyszedł na balkon i z niego przeskoczył na balkon sąsiadów, następnie chwycił w powietrzu przeskakującą żonę Irkę, i na koniec Salek także przeskoczył na ten sam balkon. Cała operacja trwała sekundy. Drzwi balkonowe sąsiadów były otwarte, wbiegli więc do mieszkania wzbudzając wśród nich mały popłoch, przebiegli przez jakieś pokoje do drzwi wyjściowych, stamtąd na klatkę schodową i na ulicę. Niestety, żaden z tłum gapiów zaczął ich gonić, nawet nie wiedząc, że uciekający byli

ukrywającymi się Żydami. Gdyby chłopcy byli sami, łatwo byłoby im uciec. Była jednak z nimi Irka, która nie mogła biec szybko, a na dodatek w pewnym momencie skręciła nogę w kostce i nie mogła biec dalej. Ben postanowił z nią zostać i polecił Salkowi uciekać samemu. Ben i Irka zostali otoczeni przez goniących ich ludzi i przez przypadkowych przechodniów. Patrol niemieckiej policji, który zjawił się tam równocześnie z wozem straży pożarnej, zaarrestował Bena wraz z żoną Irką. Zostali oni odwiezieni wozem policyjnym do niesławnego Pawiaka. Wiadomo teraz, na podstawie tabliczek umocowanych do drzew na terenie tego więzienia, że Irka została rozstrzelana na gruzach getta dnia 5 października 1943 r. Gdy Ben znalazł się na Pawiaku, zapytany o zawód oświadczył, że jest szewcem (kamasznikiem). Został więc przydzielony do brygady więźniów rzemieślników pracujących w piwnicy Pawiaka. Natomiast Salek, któremu udało się uciec z ul. Pańskiej, zjawił się wieczorem tego sierpniowego dnia 1943 r. w mieszkaniu Janiny przy ul. Wielkiej i opowiedział o dramatycznych przejściach całej trójki na ul. Pańskiej. Trzeba było wymyślić dla Salka jakąś kryjówkę. W mieszkaniu Janiny był mały wewnętrzny przedpokój posiadający sporej wielkości wnękę. Przedpokój ten oświetlony był światłem dziennym przez świetlik pod sufitem, wychodzący na sąsiadujący pokój. We wnęce tego przedpokojku stały 3 duże, wiklinowe kosze służące do przeprowadzek, jeden na drugim aż pod sufit. Kosze były tak duże, że zajmowały całą szerokość wnęki. Kosze były prawie puste, zatem nie było trudne odsunięcie ich piramidy od tylnej ściany wnęki na odległość około 70 cm, tworząc za nimi pustą przestrzeń o długości półtora metra. Dostęp do przestrzeni za koszami odbywał się z sąsiedniego pokoju przez świetlik znajdujący się pod sufitem, w którym brak było szyby. W pokoju tym, tuż pod świetlikiem, znajdowała się szafa. Droga do kryjówki wiodła więc z krzesła przystawionego do szafy na jej wierzch, stamtąd przez okienko świetlika za kosze, a następnie w dół szczeliny między koszami i ścianą, do poziomu podłogi. Właśnie ta kryjówka posłużyła Salkowi za dzieńne schronienie przez okres wielu miesięcy. Salek był wysportowanym, szczupłym mężczyzną, mógł się więc tam dostawać i wydostawać bez trudu. Natomiast przebywanie w kryjówce pozwalało jedynie na siedzenie z wyprostowanymi nogami lub leżenie z podciągniętymi w górę kolanami. Ułożono tam wąskie materace aby zwiększyć wygodę ukrywającego się Salka. Na noc Salek wyskakiwał z kryjówki i spał na tapczanie przy uchylonym oknie, aby usłyszeć zajeżdżające pod dom auto niemieckie. Zanim dozorca otworzył bramę i Niemcy weszli na III piętro, Salek miał czas aby wyjść w skarpetkach przez drzwi kuchenne na strych, znajdujący się pół piętra wyżej.

W czasie przebywania Salka w kryjówce, nie brak było dramatycznych wydarzeń. Jednego jesiennego dnia 1943 r., na rogu ulic Zielnej i Złotej, a więc w bezpośrednim pobliżu mieszkania Janiny, zabity został pijany policjant niemiecki. W następstwie tego wydarzenia, kilka godzin później Niemcy zorganizowali w tym rejonie ogromną obławę mającą na celu złapanie zabójcy wspomnianego policjanta. Na ulicach Złotej, Zielnej i

Wielkiej, nagle pojawiło się mnóstwo umundurowanych Niemców. Wszyscy oni byli w hełmach, z granatami trzonkowymi za pasem i uzbrojeni w pistolety maszynowe. Wchodzili do kolejnych domów i penetrowali wszystkie pomieszczenia od piwnic do strychów. Obława nie zamierzała żartować. Za kimś kto uciekał pod oknami domu i przypuszczalnie w nim się schronił, Niemcy puścili serię z automatu. W moment później byli już na klatce schodowej gdzie mieściło się mieszkanie Janiny. Co chwilę rozlegały się w budynku, na innych klatkach schodowych, głuchoe detonacje. To były wybuchy granatów. Gdy któryś z lokatorów mieszkania był nieobecny lub spóźniał się z otwarciem drzwi, do których łomotali, wysadzali je granatem. W mieszkaniu Janiny zaroilo się od rozwścieczonych Niemców szukających „polnische Banditen”. Zgromadzili Janinę z dziećmi tj. Elizą, Teresą i Markiem w jednym kącie pokoju stołowego, każąc im trzymać ręce do góry. Podczas gdy jeden z Niemców celował w nich z pistoletu maszynowego, reszta buszowała po mieszkaniu zaglądając do szaf, pod łóżka i do różnych kątów. Długo przyglądali się piramidzie koszów, za którymi leżał bez ruchu



**Eliza, lipiec
1944r.**

Salek. Niewiele brakowało, a wszyscy straciliby życie. Kolejna mroząca krew w żyłach historia wiązała się z faktem, że Janina i Eliza przyjęły na przechowanie, w maju 1944 r., jedenastoletnią dziewczynkę żydowską, (Iwonkę Rozenkranc), noszącą ochronne nazwisko Helenka Maligłówka. Którejś nocy, obudziło wszystkich łomotanie równocześnie do drzwi frontowych i kuchennych. Salek miał odciętą drogę na strych, ukrył się więc w swojej kryjówce. Iwonka spała z Elizą w jednym łóżku, pod jedną kołdrą. Janina postanowiła nie otwierać drzwi, za którymi pienili się gestapowcy, i zdać się na los szczęścia. W końcu Niemcy wyłamali drzwi i wpadli rozwścieczeni do środka wrzeszcząc: „Czemu nie otwierasz drzwi, „du, polnische Schweine”! Janina spokojnie odpowiedziała bezbłędną niemczyzną: „Myślałam, że to bandyci”. Tym stwierdzeniem i spokojem zawstydziła ich i ostudziła wściekłość. Zaczęli dopytywać się o żydowską dziewczynkę. Janina oświadczyła, że żadnego żydowskiego dziecka u niej nie ma, że te doniesienia pochodzą od złośliwych sąsiadów, którzy mają do niej jakieś pretensje, licząc na to, że gestapowcy zaniechają poszukiwań - myliła się jednak. Gestapowcy ruszyli do rewizji zaglądając do szaf, pod łóżka i do tapczanów. Tymczasem Iwonka, smukła jedenastolatka, leżała bez ruchu w łóżku, w fałdzie odsuniętej w nieładzie kołdry. Tam gestapowcy nie zajrzeli, jak również za piramidę koszy, gdzie w kompletnej ciszy leżał Salek. W końcu poszli nie znalazłszy dziewczynki. Niestety, Iwonka zginęła w czasie Powstania Warszawskiego razem z jej nową opiekunką, nauczycielką, panią Janiną Olszewską.

Jeszcze jedno wydarzenie omal nie doprowadziło do natychmiastowej katastrofy, ale w dalszej konsekwencji okazało się dla Salka tragiczne. W składzie mieszkania Janiny znajdował się jeden pokój posiadający osobne

wejście bezpośrednio z klatki schodowej, coś w rodzaju kawalerki. Pokój ten był wykorzystywany czasem do krótkotrwałego przechowywania ukrywanych Żydów lub udostępniany do prowadzenia lekcji na „tajnych kompletach” szkolnych, Marka. Okazało się jednak, że siostra Elizy, Teresa, zaangażowana w działalność konspiracyjną, udostępniła ten pokój, bez wiedzy rodziny, na magazynek broni i amunicji należącej do jakiegoś oddziału Armii Krajowej, w którym służyła jako jego członek. Magazynek ten znajdował się w pomieszczeniu na pościel w tapczanie i zawierał broń krótką, automatyczną, amunicję i granaty. Z magazynku tego pobierano broń na czas różnych akcji zbrojnych na ulicach Warszawy. Teresa była jedną z tych dziewczyn, które donosiły broń na miejsce akcji i przynosiły ją z powrotem. Któregoś popołudnia, w końcu czerwca 1944 r., przyszło dwu kolegów Teresy i poprosiło ją o klucz do tego pokoju. Coś tam manipulowali przy broni. Nie upłynęło wiele czasu gdy nagle rozległa się, w tym właśnie pokoju, długa i bardzo głośna seria z broni automatycznej. Równocześnie rozległ się brzęk wypadających na podwórze szyb. Zaraz potem pojawili się zdenerwowani koledzy Teresy informując, że zaciął się im pistolet automatyczny „Sten” (pochodzący z brytyjskich zrzutów) i cały magazynek pocisków (36 szt.) został wystrzelony przez okno i do wnętrza pokoju. Gdzieś zatelefonowali i parę minut później wynieśli na kocach zawartość tapczanu do oczekującej przed domem rikszy. W mieszkaniu byli tylko Teresa z 14-letnim bratem Markiem, oraz ukryty za kozkami Salek, nie orientujący się w potencjalnej grozie sytuacji. Gdy Teresa z Markiem weszli do pokoju w którym wydarzył się wypadek z bronią, ukazał się im ogrom zniszczeń poczynionych przez tę serię z pistoletu automatycznego. Dwuskrzydłowe drzwi balkonowe, przecięte na pół, zwisały z futryny bez szyb. Również wybite i podziurawione były szyby w mieszkaniu na tym samym poziomie po przeciwnej stronie podwórza. Ten z kolegów Teresy, który przypadkowo stał się sprawcą tej długiej serii, zorientowawszy się, że nie może jej zatrzymać, skierował strzelającą broń przez róg pokoju na tapczan, zapominając, że były tam ukryte granaty. Stojąca w rogu pokoju toaletka z dwuskrzydłowymi lustrami została przecięta ukośnie. W tynku nad tapczanem było kilka dziur od pocisków, a z powierzchni tapczanu sterczały sprężyny na całej jego długości. W jego wnętrzu pozostał pojedynczy, pozostawiony przez kolegów Teresy granat tzw. „Filipinka”, który mógł wybuchnąć w każdej chwili, gdyż miał przestrzelony mechanizm inicjujący. Cały pokój pokryty był białym kurzem od tynku i odłamkami szkła. Teresa z Markiem pospiesznie przystąpili do kamuflowania zniszczeń przed Niemcami, którzy mogli tam wpaść lada moment, a także przed ich matką, która nie powinna dowiedzieć się o całej przygodzie, gdyż zdenerwowanie z tym związane mogłoby odbić się na jej zdrowiu (chorowała na serce). W pierwszym rzędzie, z zachowaniem maksymalnej ostrożności, przestrzelony granat został zaniesiony na strych, gdzie Teresa zakopała go w piasku stojącej tam skrzynki przeciwpożarowej. Teresa posprzątała błyskawicznie pokój z kurzu i szkła. Na podziurawiony tapczan zarzuciła jakieś stare kołdry i koce. Toaletka też została nakryta kocem.

Na ścianie nad tapczanem zawieszono na gwoździkach jakieś makatki aby zakryć serie dziur po pociskach. Teresa postanowiła, że w razie wizyty Niemców będzie im tłumaczyć, że ktoś obcy wdarł się do pokoju i zaczął strzelać. Było to tłumaczenie o tyle prawdopodobne, że po przeciwnej stronie podwórza, w mieszkaniu na tym samym poziomie, tam gdzie wybite i podziurawione zostały szyby, mieszkały dwie „panienki”, które przyjmowały oficerów niemieckich. Okazało się później, że i one w ten sam sposób tłumaczyły sobie ten „zamach” na ich życie. Stały się gorącymi patriotkami i służyły potem w jakimś oddziale powstańczym. Pomimo, że następnego dnia, staraniem i na koszt oddziału AK do którego należeli koledzy Teresy, drzwi balkonowe zostały naprawione i wstawione nowe szyby, nadal istniała obawa, że Niemcy zgłoszą się w końcu w celu zbadania przyczyn strzelaniny. Trzeba było natychmiast coś zrobić z Salkiem-Andrzejem, leżącym za kozami, znajdując dla niego nową kryjówkę. Została więc wtajemniczona w sprawę Eliza. Niezastąpiona okazała się znowu pani Irena Rycio, właścicielka „spalonego” mieszkania przy ul. Pańskiej 39. Wyszukała ona w Szpitalu św. Łazarza na ul. Karolkowej na Woli, wolny pokój stajennego, przy starej stajni. Koni już nie używano, nie było również stajennego. Eliza odprowadziła tam Salka, którego pobyt w szpitalu został uzgodniony z dyrektorem szpitala, ordynatorami i lekarzami. Salek dostał białe ubranie pielęgniarki i występował odtąd w szpitalu jako członek jego personelu. Tymczasem nieco wcześniej, w kwietniu lub maju 1944 r., nadszedł „gryps” z Pawiaka od Mariana Gołębińskiego czyli Bena Bursztyna. Przebywał on tam pracując i mieszkając w piwnicy więzienia z grupą więźniów żydowskich i polskich, z których część wyprowadzano do jakichś robót w mieście. Coś odgruzowywali, a potem budowali jakąś stację paliw na ul. Dynasy. Wśród nich był człowiek o nazwisku lub przezwisku Maks Blacharz. Właśnie ten człowiek, nadzwyczaj odważny i przedsiębiorczy, zaczął kontaktować się z Elizą i dostarczać jej grypsy od Bena. Ben prosił o kupienie kilku kilogramów świec i oddanie Maksowi. Eliza zanosila te sprawunki w poblizkie miejsca pracy więźniów na ul. Dynasy i kładła pod płótem. W kolejnym grypsie za kilkanaście dni, Ben prosił o latarki elektryczne i baterie wyjaśniając, że wraz z innymi więźniami kopią tunel do sieci kanalizacyjnej, i są już tak głęboko, że świece nie chcą się palić z braku tlenu. W końcu, za pewien czas, Ben prosił o plany kanalizacji miejskiej rejonu Pawiaka, gdyż kopiący tunel nie mogą trafić na kanał. Konieczne było znalezienie kogoś kto mógł taki plan dostarczyć. Wymagało to pośrednictwa AK, które miało swojego człowieka w dziale kanalizacji w Magistracie, w budynku Ratusza na Placu Teatralnym. W końcu plan taki został w lipcu 1944 r. dostarczony przez Elizę Maksowi Blacharzowi, a przez niego Marianowi Gołębińskiemu Benowi.

W dniu wybuchu Powstania Warszawskiego tj. dnia 1 sierpnia 1944 r. o godz. 6.30 rano zgłosił się do Elizy dozorca domu z ul. Granicznej 15, przy placu Żelaznej Bramy, przynosząc kartkę od Mariana Gołębińskiego czyli od Bena, w której komunikował o udanej ucieczce z Pawiaka i prosił o suche

ubranie. Eliza pobiegła natychmiast na ul. Graniczną i spotkała się z Benem i kilkoma innymi uciekinierami. Wraz z nim w stróżówce tego domu przebywało jeszcze 5 jego kolegów uciekinierów, wszyscy w mokrych i cuchnących ubraniach po przejściu przez kanał kanalizacyjny. Okazało się, że łącznie uciekło wówczas z Pawiaka 17 Żydów i Polaków, z których 6, wliczając w to Bena, wyszło z kanału na ul. Granicznej, a reszta zdecydowała się przedzierać dalej w kilku grupach, na które się podzielili. Eliza wystarała się o suche ubranie od swego ojca i zaniosiła je Benowi. Dla pozostałych 5 więźniów suche ubrania przyniosły w międzyczasie inne przypadkowe kobiety, których Eliza nie знаła. Przed ucieczką z Pawiaka, Ben dał wszystkim pozostałym uciekinierom, adres mieszkania Janiny przy ul. Wielkiej 11. Wkrótce zjawili się tam, oprócz wspomnianych sześciu, jeszcze kilku, wymytych i przebranych w suchą odzież. Wśród nich był Maks Blacharz, który wcześniej przynosił Elizie grypsy od Bena. Po zjedzeniu jakiegoś posiłku i przeprowadzeniu wielu rozmów telefonicznych, zaczęli powoli rozchodzić się do różnych kryjówek w Warszawie. Bena natomiast, Eliza odprowadziła do szpitala na ul. Karolkowej, do tej samej kryjówki w której przebywał już od kilku tygodni Salek. Ben także dostał w szpitalu biały fartuch i uchodził za członka personelu szpitala, w miejscu pozornie najbezpieczniejszym. Opiekę nad obydwojma chłopcami sprawowała mieszkająca w szpitalu pani Irena Rycio. Jeden z uciekinierów z



**Janina, latem
1945 r.**

Pawiaka, Mosze Zylbersztajn, który przyszedł do mieszkania Janiny z ul. Granicznej, nie miał gdzie pójść. Janina zatrzymała go zatem u siebie, ukrywając go w całkowitych ciemnościach w piwnicy, w zamkniętej na kłódkę komórce z węglem.

Należy pamiętać, że był to dzień 1 sierpnia 1944 r., dzień wybuchu Powstania Warszawskiego. Atmosfera w Warszawie była nadzwyczaj napięta już od szeregu dni. Czuło się nadchodzące dni przełomu. Zza Wisły dochodził już nie pomruk, ale dudnienie artylerii; często, tuż nad dachami przelatywały myśliwce sowieckie bez interwencji ze strony Niemców. Poprzedniej nocy, w świetle flar wiszących na niebie, bombowce sowieckie bombardowały

w mieście jakieś cele, też bez interwencji niemieckiej obrony przeciwlotniczej.

O godzinie 17.00 wybuchło Powstanie Warszawskie przynosząc, zamiast wyzwolenia, niesłychane cierpienia umęczonemu miastu. Janina została w mieszkaniu przy ul. Wielkiej 11 sama, z ukrytym w piwnicy Mosze Zylbersztajnem. Jej córki, Eliza i Teresa, znajdowały się w punktach koncentracji żołnierzy AK jako sanitariuszki, każda w innej dzielnicy Warszawy. Mąż Janiny, Wiktor wraz z 14-letnim synem Markiem, znajdował się na Powiślu, na ul. Smolnej, gdzie mieszkali w małej kawalerce.

Mieszkanie Janiny, przy ul. Wielkiej 11, znalazło się w części Warszawy wyzwolonej przez powstańców pierwszego dnia Powstania. Janina uznając

jednak, że losy Powstania nie są pewne, a stanowiska niemieckie całkiem blisko (budynek Pasty na ul. Zielnej), nie dekonspirowała ukrytego w piwnicy Moszka, zaopatrując go nadal w napoje i pożywienie. Sama pozostała w wyludnionym mieszkaniu. Nadszedł dzień 4 sierpnia 1944 r. Sąsiadka Janiny wstąpiła do niej namawiając aby zeszły do schronu w piwnicy, gdyż na niebie kręciły się jakieś samoloty. W momencie gdy wchodziły do piwnicy w dom uderzyły bomby. Całkowitemu zniszczeniu uległ sąsiedni dom Wielka 13, a znacznemu w części frontowej dom, ul. Wielka 11, gdzie znajdowało się mieszkanie Janiny. Zniszczenia były tak poważne, że Janina wraz z sąsiadką i Mosze Zylbersztajnem zostali uwięzieni przez gruzy w piwnicy-schronie. Ponieważ nikt z zewnątrz nie spodziewał się, że ktokolwiek tam się znajduje, nie podejmowano żadnej akcji ratunkowej. Według późniejszej relacji Janiny, podmuch powietrza rzucił ją oraz sąsiadkę wzdłuż korytarza piwnicznego aż do jego końca, gdzie upadły i leżały w ciemnościach dusząc się wznieconym przez wybuch kurzem i sadzami z dymników kanałów kominowych, oraz oparami amoniaku pochodzącymi z bliskiej eksplozji ładunku wybuchowego bomb. Janina starała się zapalić świecę, a gdy w końcu ją zapaliła, nie widziała



płomienia świecy na skutek ogromnego zagęszczenia kurzu w powietrzu. W takim momencie ktoś chwycił ją za rękę i starał się ją uspokoić. Był to Mosze Zylbersztajn, który wydostał się z komórki z węglem. Podmuch od bliskiej eksplozji bomby wyrwał drzwi komórki i uwolnił go z kryjówek. Gdy tylko kurz opadł, Mosze rozpoczął akcję ratunkową. W piwnicy, zamienionej w czasie okupacji na schron przeciwlotniczy, znajdowały się kilofy i łopaty, i przy ich pomocy, po paru godzinach udało się Moszkowi wyłamać kraty od okienka piwnicznego i przekopać przez stertę gruzów je zasłaniające, uwalniając siebie oraz Janinę i jej sąsiadkę. Potem Mosze Zylbersztajn gdzieś zniknął i nie pokazał się więcej. Janina odtąd gnieździła się w

piwnicy, w innej części tego samego budynku, aż do końca Powstania. Odnaleźli ją tam i gnieździli się razem z nią zaprzyjaźnieni Żydzi, którzy wcześniej korzystali z jej pomocy. Było ich 5 osób, w tym mała dziewczynka z matką, p. Marią Szelowską (Wanda Taubler z Krakowa). Dwukrotnie odwiedził Janinę Maks Blacharz. Za każdym razem przynosił coś z żywności, raz nawet świeże mięso końskie. W dniu 5 sierpnia Szpital św. Łazarza na ul. Karolkowej został zajęty przez Niemców. Brygada policji niemieckiej z Poznania (pod dowództwem gen. Dirlewangera), we współpracy z brygadą Własowców z RONA, przystąpiły do masowych mordów ludności cywilnej na Woli. W szpitalu na Karolkowej zabito ok. 3500 osób personelu, chorych, rannych oraz chroniącą się tam okoliczną ludność cywilną. Wśród personelu byli Ben i Salek oraz p. Irena Rycio. Niemcy palili zwłoki na stosach. Wykonywały te czynności grupy polskich cywilnych mężczyzn zwanych „Brennkomando”, których Niemcy potem również rozstrzelali i spalili. Należy przypuszczać, że nie znaleźli oni zwłok wszystkich zabitych, bo po wojnie, gdy dokonywano ekshumacji i identyfikacji oraz ważenia popiołów spalonych ludzi dla określenia ich liczby, odnaleziono zwłoki Ireny Rycio oraz kilkudziesięciu innych osób, których nie spalono. Kilka lat po wojnie Eliza dokonała przeglądu tablic nagrobnych na Cmentarzu Wolskim w kwaterze „Polegli-Niepokonani”, w której pochowane są szczątki ludzi pomordowanych na Woli. Tam właśnie odnalazła płytę nagrobną z nazwiskiem Ireny Rycio i dwu innych zidentyfikowanych osób, oraz 43 nieznanymi (fotografia poniżej). Przypuszczalnie wśród tych ostatnich znajdują się szczątki Salomona Jusyma (Andrzeja Jarosza) i Bena Bursztyna (Mariana Gołębińskiego). Powyższa historia opisująca dzieje ratowania trzech osób pochodzenia



żydowskiego, to tylko fragment równie dramatycznych okoliczności udzielania pomocy i ratowania przez Janinę i Elizę, innych osób pochodzenia żydowskiego. W sumie udzieliły one pomocy 54 Żydom, z

których przeżyło wojnę co najmniej 29 osób. To chyba dobry wynik jak na tamte okrutne czasy. Po wojnie obydwie zostały odznaczone medalem "Sprawiedliwy wśród narodów świata", oraz drzewkiem zasadzonym w Jerozolimie obok tablicy imiennej upamiętniającej pomoc Żydom udzieloną przez Janinę i jej córkę Elżbietę.



Powyżej fotografia medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata” przyznany Janinie i jej córce Elżbiecie, za pomoc udzieloną w czasie wojny prześladowanym Żydom oraz fotografia tablicy imiennej z nazwiskami Janiny i Elżbiety, stojąca przy drzewku pamięci w ogrodzie Yad Vashem. w Jerozolimie.



Roman Rosenberg przeżył wojnę w Austrii, następnie w obozach koncentracyjnych. Po wojnie zamieszkał w Australii; zmienił nazwisko na Roman Rossleigh.

Trzeciemu z grupy studentów medycyny w Lozannie, Romanowi Rosenbergowi, udało się przeżyć wojnę w Austrii. Nie obyło się to bez dramatycznych przeżyć. Został zadenuncjowany do Gestapo przez holenderskiego konfidenta, robotnika przymusowego pracującego wówczas w Austrii. Roman został zaarrestowany, ciężko pobity i potem torturowany w czasie przesłuchań, a następnie zesłany do obozów w Krakowie-Płaszowie oraz Mauthausen. Po wojnie wrócił do Polski gdzie dokończył przerwane studia medyczne. Ostatecznie wyemigrował do Australii. Zmarł w Sydney w 2008r. w wieku 88 lat. W Załączniku znajduje się angielskojęzyczny, znaleziony w Internecie, opis działalności Janiny i jej córki Elizy w ratowaniu Żydów.

W dniu wybuchu Powstania Warszawskiego, dnia 1 sierpnia 1944 r., w godzinach popołudniowych Eliza była już na posterunku sanitarnym na ul. Furmańskiej 12, oczekując na rozpoczęcie walk. Jej przydział służbowy był przy Batalionie „Bończa” w Zgrupowaniu „Róg”. Pełniąc funkcję pielęgniarki w zaimprovizowanym

szpitaliku w piwnicy jakiegoś budynku, doznała niesłychanej traumy gdy jej pacjenci, w większości młodzi żołnierze Powstania, zostali spaleni miotaczem płomieni potem jak teren tego szpitala na Starym Mieście został zajęty przez oddział SS. Następnie jej droga wiodła, wraz z wycofującymi się oddziałami powstańczymi, przez Krakowskie Przedmieście aż do jakiegoś powstańczego szpitala na Czerniakowie. Tam, umierająca koleżanka, także sanitariuszka, wyznała Elizie, że przed śmiercią bardzo chciałaby zobaczyć się ze swymi rodzicami. Problem polegał na tym, że rodzice umierającej dziewczyny mieszkali na Żoliborzu. Nie odstraszyło to jednak Elizy. Ubrana w biały fartuch, z opaską czerwonego krzyża na ramieniu i z taką samą flagą na kijku od szczotki, wyruszyła w drogę na Żoliborz. Eliza szła przez pozycje niemieckie nie będąc przez nie zatrzymywana. Tak dotarła do wiaduktu przy dworcu Warszawa Gdańska, gdzie została



1945. Eliza ze swą koleżanką, sanitariuszką z Powstania, Grażyną Pağowska

ostrzelana ogniem z karabinu maszynowego. Upadła na ziemię kryjąc się za jakąś zasłoną. Szczęśliwie nie doznała żadnych obrażeń. Za chwilę zjawili się Niemcy. Jeden z nich, mówiący dobrze po polsku, okazał się szczególnie agresywny. Zniknął na chwilę pojawiając się ze szpadem. Kazał Elizie wykopać dla siebie grób. Co pewien czas sprawdzał czy wymiary i głębokość grobu są prawidłowe. W końcu kazał Elizie położyć się w grobie i wówczas gdzieś zniknął nie pokazując się więcej. Eliza wydostała się z grobu i dołączyła do tłumu ludności cywilnej wyganianej z tej okolicy do obozu przejściowego w Pruszkowie pod Warszawą. Tam Eliza zgłosiła się w komendzie obozu jako sanitariuszka. Niemiecka komenda obozu włączyła natychmiast Elizę w skład zespołu sanitarnego. Tam Eliza spotkała dwie koleżanki, z którymi służyła w oddziale sanitarnym na Starym Mieście, a potem na ul. Furmańskiej (Halina Tomasik i Grażyna Pağowska), ale w krytycznym momencie jej wyprawy na Żoliborz, straciła z nimi kontakt. Do zadań zespołu sanitarnego w obozie w Pruszkowie, należało między innymi przenoszenie na noszach osób chorych lub rannych do lazaretu, który znajdował się na zewnątrz obozu. Eliza i jej koleżanki natychmiast wykorzystały tę okoliczność do wyprowadzania poza teren obozu młodych chłopaków, byłych powstańców, którym groziły represje ze strony Niemców. Układały takiego delikwenta na noszach, zakrywały go kocem pod samą brodę i wynosiły poza granice obozu gdzie zostawał uwolniony. Udawała się dziewczynom ta sztuczka przez kilka dni. Jednego dnia, gdy wracały do obozu z pustymi noszami, usłyszały płynący z głośników niemiecki komunikat w języku polskim, wymieniający nazwiska Elizy i pozostałych sanitariuszek, aby natychmiast stawiły się osobiście w niemieckiej komendzie obozu. Natychmiast podjęły decyzję o ucieczce.

Zostawiły nosze i białe fartuchy pod jakimś drzewem i uciekły nie zgłaszając się do komendy obozu, dołączając do innej grupy ludności cywilnej wkraczającej do obozu. Stamtąd za ok. 10 dni zostały skierowane wraz z uchodźcami w okolice Krakowa. Eliza z koleżankami znalazły się w miejscowości Liszki odległej 15 km od Krakowa. Dostały one z miejsca zatrudnienie w niedawno utworzonym w Liszkach szpitalu dla uchodźców warszawskich w oparciu o fundusze Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Był to mały szpital na 60 łóżek, zainstalowany w byłym budynku więziennym. Szpital ten nie spełniał współczesnych standardów. Nie było tam elektryczności, wodociągów ani kanalizacji. Do nieustannych zadań personelu należało wynoszenie nieczystości do szamba, donoszenie wody ze studni oraz palenie w piecach ogrzewających pomieszczenia. Korytarze i sale chorych były oświetlane lampami naftowymi. Sale chorych i sypialnie dla personelu mieściły się w dwułożkowych, byłych celach więziennych, sala operacyjna zaś w jadalni więziennej. Oświetlenie Sali Operacyjnej stanowiły lampy karbidowe dające bardzo silne, białe światło. Na maszcie przed budynkiem powiewała duża flaga Czerwonego Krzyża. Eliza nawiązała kontakt z matką, oraz rodzeństwem, Teresą i Markiem, którzy przebywali w okolicach Grodziska Mazowieckiego. W porozumieniu z miejscowym urzędem gminnym, zaprosiła ich do Liszek. Przyjechali oni tam, zaopatrzeni w odpowiednie zezwolenia na podróż pociągiem, w listopadzie 1944 roku. Teresa dostała z miejsca pracę i zakwaterowanie we wspomnianym szpitalu, natomiast matka Elizy, Janina z bratem Markiem, otrzymali zakwaterowanie u samotnej wdowy mieszkającej na skraju wsi w niewielkiej chatce.

Któregoś dnia, w grudniu 1944 r. Eliza wraz z matką wybrały się pieszo do Krakowa. W Krakowie trafiły na uliczną łapankę, w której Elizę zatrzymano, gdyż odpowiadała wiekowo potrzebom przemysłu niemieckiego. Na nieszczęście Eliza nie miała ze sobą dokumentów potwierdzających jej zatrudnienie w szpitalu w Liszkach. Nie było dyskusji z SS-manami; zabrali Elizę do obozu koncentracyjnego w Krakowie-Płaszowie. Janina została sama na ulicy nie wiedząc co robić. Zupełnie przypadkowo, pojawił się nie wiadomo skąd, znajomy rodziców Elizy, pan Mieczysław Igielski mający obywatelstwo niemieckie. Janina wyjaśniła mu sytuację. Pan Mieczysław natychmiast udał się do komendy tego obozu i wyjaśnił, legitymując się dokumentami niemieckimi, że Eliza jest jego siostrzenicą. Nie wiele to jednak pomogło. SS-mani obiecali natomiast panu Mieczysławowi, że jeśli dostarczy dokumenty zatrudnienia Elizy w szpitalu, to wówczas ją puszcza. Janina, prawie biegiem dotarła do Liszek po ten dokument, następnie znowu biegnąc dotarła do Krakowa, i tam spotkała się z panem Mieczysławem. Zaświadczenie o zatrudnieniu Elizy w szpitalu pozwoliło na uwolnienie Elizy z obozu jeszcze tego samego dnia. Po przenocowaniu w Krakowie wróciły do Liszek. Do szpitala zaczęły trafiać nie tylko uchodźcy z Warszawy, lecz także miejscowa i okoliczna ludność, ranni cywile i partyzanci. W czasie przechodzenia frontu walk w styczniu 1945 r, także wojskowi sowieccy. Za dwa lub trzy dni po zajęciu Liszek zaczęła

przechodzić przez tę miejscowość wielojęzyczna fala więźniów wyzwolonych z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, którzy tłumnie pojawili się na szosach dążąc w kierunku Krakowa. Byli oni często w złym stanie fizycznym, wygłodzeni i zmarznięci. Widząc w Liszkach flagę Czerwonego Krzyża na maszcie przed budynkiem szpitala, udawali się tam gromadnie spodziewając się ogrzania, nakarmienia oraz miejsca do odpoczynku lub noclegu. Zapewnienie im takich 'luksusów' przekraczało możliwości kierownictwa szpitala oraz gminy, która przestała otrzymywać pomoc ze Szwajcarii. Wszyscy starali im się pomóc w miarę możliwości.



1946. Eliza w Gdańsku.

Po ustabilizowaniu się sytuacji wojennej, Eliza wyjeżdżała kilkakrotnie do Warszawy z zamiarem znalezienia tam miejsca do zamieszkania z matką i rodzeństwem. Niestety, zniszczenia miasta były tak poważne, że takie plany trudno było zrealizować. Natomiast Teresa, siostra Elizy, wybrała inny kierunek i pojechała do Gdańska. Stamtąd przysłała do Liszek wiadomość, że otrzymała pracę i mieszkanie, zapraszając Elizę, matkę i brata Marka do Gdańska-Oliwy. Wyjechali tam



1960. Eliza w Warszawie

na stałe dopiero w czerwcu 1945 r. Eliza otrzymała w Gdańsku pracę w Bibliotece Narodowej, w Dziale Starodruków. Ta dziedzina stała się jej specjalnością zawodową także po przeniesieniu się do Warszawy w roku 1949, i aż do końca jej zawodowej kariery.



2003. Eliza w Warszawie jako emerytka.

Eliza dokonała kilku istotnych odkryć zawartych w średniowiecznych starodrukach. Przede wszystkim bezspornie ustaliła, że występująca w nich często nazwa miasta „Kulmen” lub „Kolm” nie dotyczyła niemieckiego miasta Kulm lecz miasteczka polskiego o nazwie Chełmno. Do tej właśnie miejscowości, w XV w. skierowała się grupa katolików z Holandii, po wygnaniu przez



2008. Eliza po dekoracji. Obok stoi wnuczka jej brata Marka.

Protestantów. Nosili on nazwę „Bracia Wspólnego Życia”. W Chełmnie założyli oni szkołę średnią oraz drukarnię, której wyposażenie przywieźli ze sobą z Holandii. Eliza przypisuje tej oficynie wydrukowanie „Modlitewnika Jana Zamojskiego” oraz „Kazań Papieża Leona I”. Opublikowała ona szereg artykułów dotyczących historii średniowiecznego drukarstwa w Polsce. Wiele lat po przejściu na emeryturę, w 2008 r, Eliza została nagrodzona w Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, za całokształt jej działalności jako znawcy inkunabulistyki średniowiecznej.

Pod koniec życia przebywała kilka lat w domu opieki w Józefowie pod Warszawą. Tam zmarła dnia 26 lipca 2017 r.

Pochowana jest w rodzinnej kapliczce-grobowcu na Starych Powązkach w Warszawie.



ZAŁĄCZNIK

SZANDOROWSKI, Janina (1888-1970) and SZANDOROWSKI, Elzbieta (Eliza) (1923-2017)-daughter.

In 1942 Janina Szandorowski lived in Warsaw with her two daughters and a 12 years old son. Her husband, an Air Force colonel and career officer, took part in the September 1939 campaign, was active in the underground under another name and for security reasons stayed elsewhere. He approved the activity of his family on behalf of Jews. After the Warsaw Uprising 1944, he became a POW in an officers' camp from which he did not return. Their apartment had 11 rooms and Janina, to earn a living, rented rooms, mostly to Jews. Some of them, without any resources, did not pay rent and she fed them. So her children had to help to maintain the boarding house. Her boarders fled the ghettos of Lvov, Sambor, Rzeszow, Sanok and Cracow. Some of them came already with false identifications; for others, Janina had to obtain them. Over fifty (50) Jews passed through her flat. Some stayed there a few days, others a few weeks, for some Janina found shelter elsewhere. Sometimes, at their request, she traveled to other towns to bring their Jewish relatives or their belongings from places as far as Lvov. The first time to bring an infant Jewish boy, suffering of diarrhea and the second to bring 2 kilos of gold belonging to one of the roomers, Arthur Stala. Arthur rented another apartment, but soon returned to the boarding house. He asked Eliza, a teenager, to retrieve his gold he left in that rented apartment because he thought that its owners discovered that he was a Jew and planned to blackmail him. Eliza entered with trepidation that apartment in their absence with his key and followed his instructions and brought the gold back to him again. For this service he gave her three white tulips. There were several Gestapo searches in the boarding-house. During them the Jewish tenants hid in the attic, or in some other place like under the blanket of a bed. In May 1943 the Germans arrested in the boarding house 17 people, including the Szandorowskis, interrogating them on Szucha Avenue (Gestapo Headquarters in Warsaw). Fortunately, having found some diamonds sewn in the garment of a Jew, they were in good mood and released the next day the owners of the flat, as Janina told them that she did not know that the boarders were Jews. They released also some of the Jewish tenants who had very good papers and who were able to recite Catholic prayers. As one woman forgot her document, lack of which would cost her life, Eliza brought it to the [Gestapo](#), thus endangering herself again. Eliza saved also Beno Bursztyn and 15 other prisoners by helping them to escape from the Pawiak prison in Warsaw. She gave them the city plan of the sewers under, candles, matches and later food and shelter after escape. Twenty nine (29) persons survived from the total number. It took 20 lines to Grynberg to list their names and places of origin. Some of them returned to Janina and Eliza several times. The people thus sheltered also went earlier through dramatic moments. Shortly after fly after departure of a trusted surgeon from the flat, who performed a successful nose operation on one of the tenants (Roman Rozenberg), the German police broke in. There was no time to remove all traces of blood. The people present explained to the police that the man had had a street accident. Finally the neighbors of Janina, annoyed with the frequent German police visits, gathered in the porch and clamored loudly that they do not want to face risk any longer because of Janina's Jewish boarders. Eliza courageously shouldered her way through the throng of people, leading out of the gate two Jewish women with a child and brought them to the train station to travel to another town. Already in April 1946 Janina received a letter from

London, from Dr. Ludwik Rozenberg, who thanked her in most moving words for saving his son Roman and enquiring sincerely about her and her family. See: Grynberg, op. cit., Lukas, Out of the Inferno, op. cit. and Prekerowa, op. cit